

Grzegorz "BROWAR" Piwek (LOS ALAMOS)

W jaki sposób zacząłeś swoją przygodę z gitarą?

To banalna historia. Na jakimś obozie harcerskim usłyszałem koleżkę grającego szanty, więc pomyślałem sobie, że to chyba proste i że też mogę się tego nauczyć. I tak uczę się do dziś, a trwa to już jakieś... 20 lat (*śmiech*). Przebrnąłem przez wiele etapów, co dziś procentuje sporą wiedzą i doświadczeniem.

Czy pamiętasz jakiś moment przełomowy? Coś, co zmieniło twoje podejście do życia i gry na instrumencie?

Dla każdego gitarzysty przełomowymi momentami są odkryte na nowo dźwięki i ich miejsce w utworze. Na pewno też taką chwilą był dla mnie zakup pierwszej gitary z wolno zawieszonym mostkiem i wyśnioną wajchą. To był śliczny seledynowy Vester. Brzmiał potężnie, miał piękny sustain, i to z fabrycznymi przetwornikami! Dzięki niemu zagrywki Edwarta Van Halena przestały być wreszcie tajemnicą, a odtwarzanie ich z magnetofonu kasetowego rozwijały mój słuch do tego stopnia, że wręcz widziałem, jak to się robi – oczywiście oczyma wyobraźni. Oprócz tego była to świetna zabawa, kiedy mogłem się pochwalić przed kolegami tym, czego się w „pocie uszu” nauczyłem. Kolejny krok to rezygnacja z owej wajchy i fascynacja oszczędnością faktury u Andy'ego Summersa czy zachwyt nad frazowaniem Toma Morello. Nie wymieniam innych wielkich gitarzystów, bo ciągle ich słucham i w grze każdego z nich znajduję coś dla siebie i mojego zespołu. Zdarzył się też wieczór, gdy po raz pierwszy usłyszałem Guano Appes. Od tamtej pory nie mogę się od nich uwolnić. Szkoda tylko, że ten zespół się rozpadł, bo dla mnie grał wręcz genialnie prosto i z przytupem. Ale to już zupełnie inna opowieść...

Jakie masz najlepsze i najgorsze wspomnienia z grania na scenie i w studiu?

O najgorszych można by mówić godzinami... Na przykład latem graliśmy na kilku festiwalach. Na każdym z nich organizatorzy zapewniali profesjonalny backline, dlatego nie zabieraliśmy swojego, co było potwornym błędem. Kiedy wiesz, że za chwilę zagrasz solo swojego życia, a coś odmawia ci posłuszeństwa, bo „profesjonalny” wzmacniacz sprzed wieku przestaje do ciebie mrugać swoim magicznym STANDBY'owym okiem, to przeżywasz koszmar. Cały pot włożony w piosenki i 300km podróży w jedną stronę idzie w diabły! Wtedy zawsze przypomina mi się mina i niemoc w głosie basisty, z którym kiedyś grałem i który powiedział niegdyś: „Bas zgasł”. Najmilszym natomiast wspomnieniem jest koncert, który zagraliśmy jako support TSA w warszawskim PARK-u. Marzenia czasem się spełniają... Studio to całkiem inna bajka dla muzyka, który większość życia spędził, grając na żywo. Pierwsza sesja zawsze jest jak egzekucja. Myślisz, że jesteś przygotowany, a to tylko złudzenie. Kiedyś z pewnym zespołem musiałem nagrać na gitarce wszystkie piloty, bo perkusista był tak zestresowany, że przez kilka godzin nie mógł trafić w tak zwany metronomowy „raz”, przez co proces nagrywania odbył się w odwrotnej niż normalna kolejności. Z Los Alamos popelniliśmy dwie płyty demo w studio Serakos i dzięki realizatorom uniknęliśmy wielu błędów, które przytrafiłyby się na pewno, gdybyśmy nagrywali te projekty na domowym komputerze.

Jakieś wpadki, anegdoty, niespodzianki?

Największa wpadka, jaką zaliczyłem z zespołem, to koncert dla pustej sali w małym studenckim klubie w Warszawie. Umknął nam fakt, że był to środek tygodnia i właśnie trwała sesja egzaminacyjna. Oprócz nas, dźwiękowca i kilku przyjaciół... nie było nikogo. Natomiast jedna z anegdot wiąże się ze wspomnianym koncertem

z TSA. Otóż pewne muzyczne pismo, opisując ten fakt, nadmieniło, iż „(...) TSA rozgrzewacza nie potrzebuje, ale należy wspomnieć, że z dobrym skutkiem zaprezentował się zespół Los Amigos (...)”. Tu wyjaśniam, że mój zespół nazywa się LOS ALAMOS, a śpiewa w nim dziewczyna, więc Los Amigos było w tym momencie trochę nie teges. Oczywiście miesiąc później pojawiło się stosowne sprostowanie. Gdy nagrywaliśmy w Polsce piosenkę oraz wywiad, w pewnym momencie po próbach dźwięku pani reżyser zarządziła przerwę. Koledzy poszli na papieroska, ale ja musiałem zostać i przez kilkanaście minut wyginać się z gitarą, bo kamerzysta chciał jeszcze coś sprawdzić, twierdząc, że mu się dobrze bujają. Do dziś mnie to niepokoi (*śmiech*).

W jaki sposób ćwiczysz?

To zależy od dnia, jednak najczęściej ogrywam chromatyczne gamy, dzięki czemu rozgrzewam palce i szlifuję czystość kostkowania. Potem skupiam się na konkretnej kompozycji, którą akurat mam na warsztacie. Staram się jak najwięcej ćwiczyć z metronomem, a zwłaszcza najtrudniejsze partie. Ciekawym sposobem ćwiczenia, który czasem stosuję, jest w miarę szybkie granie staccato prymy i sekundy małej przez dwie oktawy palcem wskazującym i środkowym, potem środkowym i serdecznym, i na koniec serdecznym i małym. Ta ostatnia figura – to dopiero hardcore.

Jakiego sprzętu używasz?

Obecnie posiadam dwie gitary. Jedna to staruszka firmy Casio. Skomponowałem na niej większość piosenek dla Los Alamos, dlatego mam do niej wielki sentyment, choć nie brzmi dobrze, bo poprzez naszpikowanie elektroniką właściwie została pozbawiona drewna. Przydaje się czasem podczas urozmaicenia instrumentacji, ponieważ posiada konwerter MIDI. Pewien kolega, któremu ją pokazałem, stwierdził, że Japończycy z głodu wymyślają takie rzeczy, bo to przecież nienaturalne, żeby gitara grała jak kościelne organki (*śmiech*). Druga to lutnicza kopia PRS z serii Artist wykonana przez Grzegorza Kolańskiego z Będzina. Polecił mi go Edmund Stasiak z Emigrantów. Gitara ma lity mahoniowy korpus i płytę wierzchnią ze specjalnie sezonowanego klonu falistego. W tej konfiguracji uwypukliły się środek i góra pasma. Gryf, również mahoniowy z hebanową podstrunnicą, złożony jest z trzech części i jest wklejony w korpus. Ptaszki wykonane są osobiście przez pana Grzegorza, za co jestem mu ogromnie zobowiązany. Przetworniki to aktywny układ dwóch humbuckerów EMG-85 i EMG-89 z rozłączaną cewką, a hardware dostarczyła firma Schaller. Kabelek wpinam do dwukanałowego 100-watowego wzmacniacza Soundman Head MK IV z paczką 2x12". Lamy Groove Tubes bardzo ładnie grają dołem w połączeniu z lekkim dopaleniem kostką Marshall JH-1. W domu do ćwiczeń używam multieffektu DigiTech RP-80.

Jakie rady dałbyś młodym gitarzystom?

Uważam, że trzeba ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć. Słuchanie lepszych od siebie i czerpanie z ich wiedzy, to już chyba tylko taka gitarowa świecka tradycja. Oczywiście nie myślę tu o klonowaniu zagrywek, ale o podpatrywaniu artykulacji, frazowania, kostkowania i wszystkich tych smaczków, którymi posługują się ci najlepsi. Dobrym pomysłem jest nagrywanie swoich ćwiczeń i pomysłów, aby wychwytywać niedociągnięcia. No i metronom! Dzięki niemu dba się o dźwięki i gra tylko te potrzebne. Metronom jest jak wibrator, taki mrużący przyjaciel... cokolwiek to znaczy (*śmiech*). ♣